

*Tu każdy zwierzak wydaje się być z zupełnie innej bajki, mieć odrębne poglądy i potrzeby – a mimo wszystko mogą się przyjaźnić. Bo do tego nie potrzeba być takim samym – wystarczy ciekawość i otwartość na siebie.*

*Hanna Pietrzak-Trzcińska, BibliotekaInspiracji.pl*

Kot Philo, zwykły kanapowiec nie pierwszej młodości, zostaje wystawiony na próbę: kiedy jego ukochany pan zachorował – wzywa pomoc, po czym mdleje ze stresu i nadmiaru wrażeń i budzi się dopiero u weterynarza. Po przebudzeniu wie jedno – musi odszukać Dziadka.

Na szczęście ma wokół siebie życzliwe mu koty i psa, które gotowe są mu pomóc, i dzięki którym trudy chwilowego życia na ulicy stają się znośne – w dobrym towarzystwie niestraszny jest nawet sztorm!

Czy Philo odnajdzie Dziadka, czy przeszkodzą mu w tym złe Ciotki? Jak potoczą się dalsze losy jego najbliższych? Aby się o tym przekonać, dołączcie do drogi pełnej przygód razem z kotem filozofem!

### **Katarzyna Ryrych**

Z wykształcenia anglistka, z zamiłowania: malarka i pisarka, autorka licznych książek dla dorosłych, młodzieży i drobiazgu, jak pieśczośliwie mówi o dzieciach. Czterokrotna laureatka Konkursu Literackiego im. Astrid Lindgren, w którego ostatniej, V edycji zdobyła także Grand Prix. Jej książki otrzymały m.in.: Nagrodę Literacką im. Kornela Makuszyńskiego, Książkę Roku Polskiej Sekcji IBBY, zostały wpisane na Listę Skarbów Muzeum Książki Dziecięcej oraz międzynarodową listę IBBY Outstanding Books for Young People with Disabilities.

## 1000 i JEDEN KAWAŁKÓW

Pomimo że mój profil – jak zauważył to kiedyś Dziadek – jest nieco egzotyczny – z pewnością nie mam nic wspólnego z gepardem.

Prawdę powiedziawszy, dotąd byłem kotem filozofa, statecznym kanapowcem, który od czasu do czasu lubił zabawić się w tygrysa, polując na myszy w swoim ogrodzie, spożywał regularne posiłki i oddawał się wszelkim przyjemnościom, na jakie tylko mógł sobie pozwolić podstarzały sybaryta\*.

Bieg za samochodem wyczerpał mnie tak straszliwie, że prawie upadłem przed bramą, do której doprowadził mnie paskudny zapach.

Na szczęście nie było w pobliżu żadnego psa, bowiem stałbym się po wsze czasy pośmiewiskiem zarówno psiego, jak i kociego rodu – po prostu usiadłem z wywieszonym językiem, nie mogąc złapać tchu ani wyrównać oszalałego, nierównego bicia serca.

Kiedy wreszcie udało mi się normalnie odetchnąć, zakręciło mi się w głowie – zawirowały korony drzew rosnących za bramą, chmury nad moją biedną głową i chodnik pod moimi łapami.

Na szczęście ten przykry stan nie trwał długo – stanąłem na cztery łapy i rozejrzałem się w poszukiwaniu jakiejś dziury, przez którą mógłbym dostać się do środka.

\* Sybaryta – człowiek lubiący zbytek, wygody i przyjemności życia.

Pręty tworzące bramę były osadzone na tyle rzadko, że wciągnąwszy brzuch, mogłem – choć nie bez wysiłku – wcisnąć się do środka.

Zapach zaprowadził mnie pod drzwi garażu, ale jako że wiedziałem, że ludzie z reguły mieszkają w domach, nie zatrzymałem się tam na dłużej, tylko ciężkim krokiem poszedłem w stronę domu.

Trąciłem łapą nieduże drzwiczki umieszczone tuż przy progu i zupełnie niespodzianie stanąłem – jak by to powiedział człowiek – twarzą w twarz z niebieskooką pięknoską, co najmniej o połowę młodszą ode mnie.

Pięknoska otworzyła pyszczek koloru kawy z mlekiem i wydała z siebie ostrzegawcze syknięcie.

– Klócić się będziemy później – uściśliłem. – Nie mam czasu na awantury. Muszę...

Urwałem. Kawowa pięknoska uprzejmie usunęła mi się z drogi. Przebiegłem spory kawałek, sforsowałem bramę, dostałem się do domu i... W jaki sposób miałem powiedzieć, że coś niedobrego stało się z Dziadkiem, skoro byłem TYLKO kotem – kotem filozofa – ale jedynie kotem?

Wbiegłem do przedpokoju, ominąłem buty Doktora i zatrzymałem się z uchylonym pyszczkiem. Spod szpary w drzwiach sączyło się światło i dochodziła muzyka.

Kiedy wszedłem do pokoju, Doktor stał przed stojakiem na nuty i smarował włosie smyczka kalafonią.

Na mój widok kompletnie oniemiał. Zamrugał, potem przeczyścił szkła okularów i w końcu wykrztusił:

– Na miłość boską, Philo, skąd się tutaj wzięłaś?

Tak, jakby nie wiedział, że koty po prostu biorą się nie wiadomo skąd, kiedy mają coś ważnego do zakomunikowania.

A potem schylił się i wziął mnie na rękę. Spojrzałem mu w oczy najintensywniej, jak tylko umiałem, ale w dalszym ciągu niczego nie pojmowałem.

Myślałem tak bardzo, że aż rozboleła mnie głowa, i nagle...

Oparłem łapę tam, gdzie powinno znajdować się jego serce, i zamiauczałem rozdzierającym głosem, a kiedy dalej nic nie rozumiał, powtórzyłem raz, drugi i trzeci.

Doktor odsunął mnie od siebie, potrząsnął głową i pobladł tak, jakby za chwilę sam miał zemdleć.

A potem podbiegł do telefonu i wykręcił numer.

W słuchawce coś zapiszczało, ale nikt się nie odezwał.

– Karol? – zapytał drżącym głosem doktor, spoglądając mi prosto w oczy.

A potem chwycił mnie może trochę za mocno i wybiegliśmy z domu do garażu. Doktor rzucił mnie na tylne siedzenie. Ruszył z piskiem opon tak gwałtownie, że uderzyłem o oparcie, ale nie było czasu na protesty. Ważne było jedynie to, że rozumiał. Liczyliśmy na to, że nie było za późno.

Doktor wcale nie mieszkał tak daleko, ale droga dłużyła mi się niemiłosiernie.

Kiedy wreszcie przybyliśmy na miejsce, wskoczyłem na mur, a doktor prawie tak zręcznie jak kot przedostał się na drugą stronę i potem wszystko poszło gładko – w mig zrozumiał, że do gabinetu można wejść jedynie przez okno, i bez najmniejszego wahania podążył moim śladem.

Dziadek siedział tam, gdzie go zostawiłem, w fotelu, z odrzuconą do tyłu głową. Wskoczyłem mu na kolana – serce nadal biło, zacinając się jak zepsuty mechanizm, ale jednak uderzało na tyle mocno, że mogłem je wyczuć.

A doktor już krzyczał do czarnej słuchawki, żeby „szybko”, „natychmiast” i „do diabła”, i co rusz przewijało się słowo „zawał”.

Kiedy rozmowa dobiegła końca, doktor ułożył Dziadka na dywanie i zaczął ugniatać jego pierś dokładnie w taki sposób, w jaki robiłem to podczas popołudniowej sjesty, co niesłychanie mnie zdziwiło, bo okazywanie uczuć w chwili, gdy za oknem połyskiwał łuk Tęczowego Mostu, było zupełnie nie na miejscu.

– Masaż serca – wyjaśnił doktor, zupełnie jakby rozmawiał z człowiekiem. Na jego czole perliły się kropelki potu i zrozumiałem, że to nie zabawa.

Wnuk i samochód z niebieskim światełkiem na dachu, wyjący jak trzech potępieńców z parku w marcowy wieczór, zjawili się prawie jednocześnie.

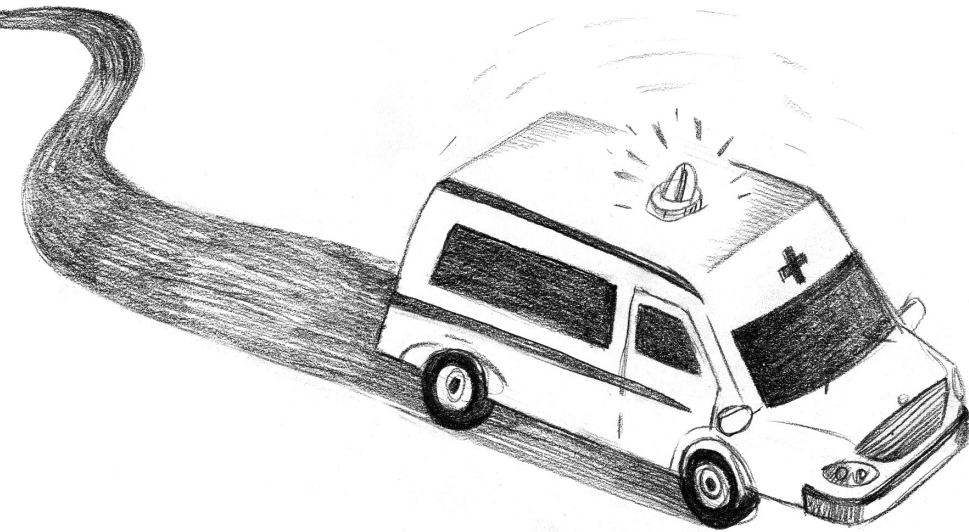
W tej samej chwili Dziadek otworzył oczy.

– Zygmunt? – zapytał słabym głosem, ale doktor ruchem ręki nakazał mu milczenie.

Dziadek spojrzał na doktora, potem na mnie i przymknął oczy.

I w tej samej chwili poczułem, jak bardzo, ale to bardzo jestem zmęczony.

Zawirował sufit, cztery ściany, witrażowa lampa na biurku, a moją pierś przeszył ból tak dotkliwy, jak gdyby moje serce pękło na tysiąc kawałków.



– Philo, Philo! – jakiś głos eksplodował tuż nad moją głową i stoczyłem się w ciemność.

Po chwili w ciemności pojawił się jasny prostokąt połyskujący niebiesko jak ekran telewizora. Prostokąt zakręcił się, zadrgał jak tafla wody i nagle przed moimi oczyma zaczęły przesuwać się, jak na zwolnionym filmie, sceny z mojego całego życia.

Czołgałem się po podłodze, niezdarnie próbując schwycić ogon mojej pięknej, eleganckiej, czarno-białej matki, uprawiałem zapasy z Dwójką, zanurzałem pyszczek w miseczce pełnej mleka...

Język matki pieścił moje uszy, ociążały po jedzeniu zapadałem w słodki sen. Siano szeleściło pod moim brzuchem, a bicie mojego serca było tak delikatne jak chrobotanie myszy pod podłogą.

Przeżywałem na powrót pierwszą burzę, kiedy rozplaszczony na ziemi, mrużąc oczy od błękitnego światła błyskawic, śledziłem duże, ciężkie krople deszczu rozpryskujące się tuż przed progiem uchylonych drzwi.

Powracała miękkość futra pierwszej myszy, którą pewnego letniego poranka matka przyniosła do rodzinnego gniazda. Pamiętałem doskonale jej ciało tracące ciepło, wiotczące, aż w końcu na podłodze pozostał już tylko strzęp szarego futerka.

Być może tamta mysz była przyczyną śmierci mojego rodzeństwa – jako najmłodszy i najślabszy zostałem odepchnięty od zdobyczy.

Prostokąt drgał i migotał, i jakaś dziwna siła unosiła mnie do góry, tak jak w czasie, gdy byłem oseskiem, moja matka, uchwyciwszy mnie delikatnie zębami za skórę na karku, przenosiła mnie do drewnianej paczki, z której wypadałem, chcąc zobaczyć, co kryje się na zewnątrz.

Ostrożnie otworzyłem oczy.

Tuż nade mną pochylała się dziwna postać w zielonym fartuchu. Widziałem tylko czarne plamy jej oczu to bliżej, to dalej.

W końcu wszystko nieco się uspokoiło.

Ponad moją głową jaskrawo świeciła lampa, a czyjeś dłonie delikatnie dotykały moich łap, grzbietu, głowy.

– Już dobrze, koteczku... – wyszeptał głos.

Przeszedł mnie zimny dreszcz. Akurat ten ton znałem tak dobrze, że nie pomyliłbym go z żadnym innym, nawet powracając zza Tęczowego Mostu.

I nie myliłem się.

Po chwili zobaczyłem parę rąk w białych rękawiczkach niebezpiecznie blisko mego karku.

Dłonie trzymały strzykawkę wypełnioną jakimś świństwem.

W ułamku sekundy odzyskałem pełnię świadomości.

– *Primum non nocere*\*! – wrzasnąłem, ale było już za późno.

Moje ciało zwiotczało i ogarnęła mnie senność...

---

\* *Primum non nocere* (z łac. ‘przede wszystkim nie szkodzić’) – maksyma lekarzy, którą kot Philo najwyraźniej chciał przypomnieć Zielonemu Fartuchowi.